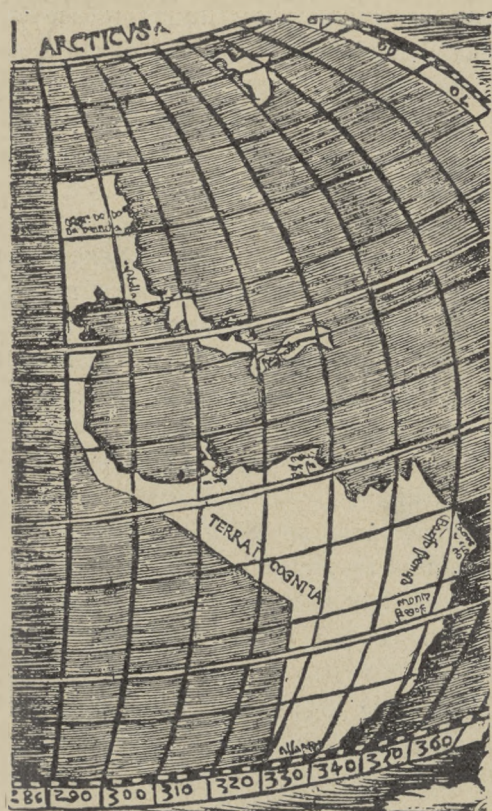




PIERWSZE WIADOMOŚCI O ODKRYCIU AMERYKI W LITERATURZE POLSKIEJ.



MAPA AMERYKI, DODANA
DO DZIEŁA JANA ZE STOBNICZY 1512 R.

Przy tak żywym ruchu geograficznym, jaki w końcu XV i na początku XVI wieku panował w Polsce, i przy tak ożywionych sto-

sunkach kulturalnych z zachodem, wiadomość o odkryciu Ameryki musiała wcześniej dotrzeć do Krakowa, gdzie się pod boki Akademii ów ruch geograficzny koncentrował. Pomimo bowiem, że we współczesnej literaturze polskiej zupełnie nie znajdujemy ulotnych druków, donoszących o odkryciu nowego świata, które się tak licznie na zachodzie pojawiły, (a nawet w sąsiednich Czechach w r. 1504 w języku narodowym) możemy twierdzić stanowczo, że zainteresowanie się odkryciami geograficznymi było w Polsce duże. Stwierdzają to przedewszystkiem polskie druki z początku XVI wieku, w których o odkryciach tych jest mowa, a które tutaj pokrótce rozpatrzemy.

Pierwszą z tych polskich „Americana“ jest niezawodnie wydanie popularnego wówczas dzieła Jana z Holywood (Sacrobosco) „O Sferze“ z komentarzami Jana z Głogowy—Introductorium Compendiosum in Tractatum spere materialis Joannis de Sacrobosco Kraków 1506¹⁾,—w którym komentator, profesor uniwersytetu, dopełnia dzieło Sacrobosci uwagą, dotyczącą odkrycia Ameryki. Píše on bowiem, że Portugalczycy odkryli ojczyznę pieprzu w miejscu, które na-

¹⁾ Dzieło to później dwukrotnie (1513, 1518) wydrukowano.

zywają nowym światem (*novum mundum*) i które przedtem było nieznanie. Coprawda Jan z Głogowy pomieszał odkrycie Ameryki z odkryciami Portugalczyków i z pieprzem, ale ponieważ nazwę „*novus mundus*” nadawano wyłącznie Ameryce, nigdy zaś Indyom, mamy więc prawo w uwadze tej dopatrywać się pierwszej wiadomości o Ameryce w Polsce.

Drugim dziełem polskim, w którym o Ameryce jest mowa, jest „*Introductio in Ptholomei Cosmographiam*—Jana ze Stobnicy, wydane po raz pierwszy w Krakowie w 1512 roku, później zaś kilkakrotnie (1517, 1519, 1531 i jedno wydanie bez daty) przedrukowywane. Autor tego podręcznika szkolnego do geografii, następca na katedrze filozofii w Akademii Krakowskiej zmarłego w 1507 roku Jana z Głogowy, użył jako źródeł do swego dzieła: Ptolomeusza, ówczesny autorytet na polu geografii, autorów starożytnych, a także współczesne druki ulotne, opis podróży Ameriga Vespucciego oraz „*Cosmographiae Introductio*” Waldseemüllera (Hylacomylusa). To ostatnie dzieło jest tem ważniejsze, że w niem po raz pierwszy rzucona jest myśl nazwania nowego świata Ameryką od imienia jej odkrywcy. Tę myśl lotaryńskiego uczonego z St. Dié rozniosło szeroko po świecie jego dzieło, które w przeciągu dwóch lat (1507 — 1509) doczekało się sześciu wydań. Myśl tę powtarza i Jan ze Stobnicy w swem dziele. Píše on, że poza Afryką i Europą odkryta została wielka ziemia, którą od jej odkrywcy Ameriga nazywają Ameryką, powszechnie zaś zwą ją nowym światem, a prócz tego odkryto wiele innych bardzo dużych wysp na oceanach: wschodnim, południowym i zachodnim. Geograf krakowski próbuje także oznaczyć położenie geograficzne Ameryki, która według niego leży pomiędzy 280° a 345° dług. zach., podczas gdy szerokość jej rozciąga się przez wszystkie północne i południowe klimaty.¹⁾

Do swego dzieła Jan ze Stobnicy dodał mapę, wykonaną w grubym drzeworycie, przedstawiającą półkulę wschodnią i zachodnią; mapa ta jest bardzo ważna dla rozwoju

kartografii Ameryki, gdyż na półkuli wschodniej (amerykańskiej) tej mapy po raz pierwszy Ameryka Północna jest połączona z południową za pomocą wąskiego przesmyku, pomimo, że dopiero w rok po wyjściu mapy (1513) Balboa odkrył ocean Cichy i stwierdził połączenie 2-ch Ameryk. Źródłem dla tej mapy były zapewne portugalskie postulany (mapy żeglarskie, nie posiadające siatki geograficznej, lecz sieć podobną do sieci pająka, będącą przedłużeniem róży wiatrów), a zapewne i mapa świata Waldseemüllera z roku 1507; co zaś do przesmyku Panamskiego, to autorem kierowało może przecucie, które pozwoliło mu wykonać dziwne, choć podobne do rzeczywistości dzieło. Tak ważna dla historii kartografii Ameryki mapa, choć niepolskiego może pochodzenia, dodana została do dzieła polskiego, wydanego w Krakowie, należy więc do kartografii polskiej i stwierdza wysoki stan cywilizacji polskiej XVI-ego wieku.

Trzecia z rzędu „*Americana*” polska jest, jak i pierwsza, komentarzem do dzieła Sacrobosco, lecz komentatorem jest już inny profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, Mateusz Kmita z Szamotuł. Tytuł tego nadzwyczaj rzadkiego dzieła¹⁾ brzmi: *Joannis de Sacrobosco astronomi celeberrimi sphericum opusculum, cum lucida et familiari expositione per Matthaeum Shamotulien, artium magistrum, in studio alme universitatis Cracoviensis collecta...* 4-o Kraków 1522 (druk Hallera). Na karcie 54 (sign. p²) autor powtarza słowa Jana ze Stobnicy o nowo odkrytych wyspach, o Amerigu Vespuccim, w końcu zaleca czytelnikowi przeczytać i rozważyć wstęp do kosmografii Jana ze Stobnicy. Jednakże w porównaniu z „*Introductio*” wiadomości o Ameryce jest tu znacznie więcej, i autor nie waha się nazwać Amerykę czwartą częścią świata.

Także i w dziele nieśmiertelnego astronoma naszego, Mikołaja Kopernika „*De revolutionibus orbium coelestium*” znajdujemy wzmiankę o Ameryce. Pobyt Kopernika we Włoszech (1496—1505) przypadał na epokę odkryć geograficznych, a właśnie we Włoszech

¹⁾ Klimatem nazywa Jan ze Stobnicy przestrzeń, objętą 2 równoleżnikami, na której krańcach różnica najdłuższego dnia wynosi pół godziny.

¹⁾ Znanych jest ogółem tylko 7 egzemplarzy, z czego jeden do sprzedania u londyńskiego antykwaryusza Woynicza za 1000 rb.

interesowano się niemi najbardziej. Nie dziw więc, że Kopernik odkrycia Ameryki używa jako jednego z motywów przemawiających za tem, że lądy wraz z wodą tworzą kulę o jednym jedynym centrze, a nie 2 kule o dwóch centrach, jak sądzili niektórzy uczeni średniowieczni i epoki odrodzenia (np. Reisch, autor encyklopedyi „Margarita philosophica“).

Wszystkie dzieła, jakie rozpatrywaliśmy dotychczas, wspominając o Ameryce, uważają Ameriga Vepucciego za odkrywcę nowego świata, o Kolumbie nie wspomina ani jedno; wynika to z tego, że w Polsce czerpano wiadomości o Ameryce z dzieł Waldseemüllera, Glareana, Apiana i innych, którzy również za odkrywcę Ameryki uważali Vespucciego.

Dotychczas rozpatrywaliśmy dzieła wyłącznie łacińskie. Pierwszym, który rodakom swoim dał wiadomość o Ameryce w języku polskim, był Marcin Bielski, pierwszy nasz geograf w języku narodowym i pierwszy zarazem popularyzator geografii u nas. Nie był to jednak pisarz oryginalny, lecz kompilator, pozbawiony krytycyzmu i zmysłu historycznego, kronika zaś jego ma charakter średniowieczny, anegdotyczny, autor jej bowiem lubował się w baśniach, dziwach i osobliwościach, przyczem zauważyć należy, że humanistą nie był ani trochę. Źródłami Bielskiego do wiadomości o Ameryce był Münster¹⁾, lecz ponieważ Münster okradał Grynacusa²⁾, więc i Bielski sięgnął do tego samego źródła.

O Ameryce w pierwszym wydaniu swej „Kroniki wszytkiego swyata” (Kraków 1551) pisze Bielski: „Ameryka wysep na zachód słońca jest na wielkim morzu oceanie, która tak wielka, że je za czwartą część świata poczytują, a niedawno znaleziona jest od Ameryka Vespucci, Hiszpana (sic!) lata pańskiego 1497“. I o Kolumbie wie już Bielski, ale plecie o nim brednie w takim rodzaju:

„Na wschód słońca jechał Krzysztof Columbus, rodem z Wenecyi (!) ten zajechał tak

daleko pod ziemię aż widział polum antarcicum (!)“... i t. d.

W wydaniu drugim „Kroniki“ z roku 1554 i trzecim (1564) Bielski znacznie rozszerzył wiadomości o Ameryce, tak, że osobne już poświęca im księgi. Jak chciwie czytano w Polsce te wiadomości, świadczą uwagi, znajdujące na marginesach „Kroniki“. Pełno tam podziwów, wykrzykników i notatek, czasem zaś zdziwienie czytelnika przemawia silniej, i pisze on „Patrzaj dziwow“, „Ryba wilga“ i t. d.

Na zakończenie przytoczę słowa, jakie w swym Flisie (1598) Sebastian Klonowicz, pisząc o historii żeglugi, podaje o Ameryce:

...„Mnodzy się ważą Indyi dochrapać,
Żądając bogactw gwałtownych natapać,
Do Kalekutu koło Afrów płyną,
I często giną.

Ale człowieczy przemysł tak jest śmiały,
Iż ten świat stary widział mu się mały,
Więc przepłynąwszy nurt oceanowy,
Nalazł świat nowy.

I tak już w koło okrążyło ziemię
Śmiertelnych ludzi tak przeważne plemię,
Już Antypodów podziemna kraina,
Nam nie nowina.

Już Ameryka, już i Magielana
Śmiałym Hiszpanom morzem dojechała
Szczęśliwe wyspy, on bohaterki raj
Wie o nim nasz kraj“...

Źródła: 1) Birkenmajer. Mikołaj Kopernik. Kr. 1900.

2) Bujak Fr. Geografia na Un. Jag. do połowy XVI w. Kr. 1900.

3) Bujak Fr. Dwa przyczynki do hist. uniwersytetu Jag. Kr. 1901.

4) Chrzanowski J. Marcin Bielski. Warszawa. 1906.

5) Daubrée. Copernic et les decouvertes geographiques de son temps Journal des Savants.

6) Gallois. Les geographes allemands de la Renaissance. Paryż. 1890. (Decembre 1895).

7) Ruge. Die Entwicklung der Kartographie Americas bis 1570. Gotha. 1892.

8) Waldseemüller. Cosmographiae Introductio. 1507. Strassburg. 1908.

9) Wierzbowski. Bibliographia Polonica XVI ac XVI ss. Varsoviae. 1889.

10) Winsor. Christopher Columbus. Boston. 1892.

Bolesław Olszewicz.

¹⁾ Münster Sebastian, geograf niemiecki XVI wieku, wydał popularną „Kosmografię“ (1544) chciwie czytana.

²⁾ Grynacusa autor Novus Orbis 1532.

Z wycieczki do Parany.

(Dokończenie).

Potem wjeżdżamy w lasy. I tu już kończy się znajomość terenu mego woźnicy. Mamy jechać przez Abranchez, tymczasem wyjeżdżamy na trakt o kilka kilometrów za Abranchez.

Nie opłaci się już wracać. Więc kombinujemy razem nową drogę okólną. Od chaty do chaty dopytując się, przez lasy, paśniki, niezliczone portongi (tak nazywają się bramy, zamykające paśniki, aby bydło i konie nie uciekały zbyt daleko; wszystko jest w tym kraju ogrodzone, ludzie sobie na płoty nie żałują, ile że drzewo tanie), docieramy nareszcie do Candidy.

Tu już ja obejmuję dyrekcyę. Candida sąsiaduje bezpośrednio z Bacachery. Jest to kolonia stara, zaludniona przez Ślązaków. Proboszczem jest tu ks. Leon Niebieszczański z Galicyi, który piastował równocześnie godność sub-komisarza policyi, głośny z ordynarnych zatargów z parafianami. Jest tu szkoła na kilkadziesiąt dzieci, prowadzona przez p. Grotta.

Wkrótce już stajemy we dworze pp. Warchałowskich. Są goście, znajomi nasi z głębi kraju, pani Dergientowa i doktorostwo Kossobudzczy. Na miłej gawędce, śpiewach, spacerach schodzi cała niedziela.

Pp. Warchałowscy mają tu 80 alkrów ładnego lasu, ślicznie położony na wzgórzu dwór i ogród nad dużym stawem. 20 alkrów rozparcelowali między kilku kolonistów.

Ogółem, na Bacachery jest kilkunastu kolonistów polskich, posiadających po 2 — 4 alkrów. Bezpośrednia (5 klm. zaledwie odległości) bliskość Kurytyby ułatwia im znacznie egzystencyę. We dworze uczy bezpłatnie i bardzo dobrze kilkanaście dzieci z okolicy p. Janina Klarnerówna, nauczycielka dzieci pp. Warchałowskich. Jest tu także niezłe rozwijające się Kółko Rolnicze.

Wśród kolonistów tutejszych na szczególną uwagę zasługuje najbogatszy z nich, p. Gajewski. Posiadłość swoją, ślicznie w głębi lasu położoną, obejmującą 12 alkrów obszaru, nazwał „Mazowsze“. Długoletni pedagog z Warszawy na stare lata emigrował z kapitalikiem do Parany, aby przynajmniej na schyłku życia zaznać zupełnej niezależności. I zaznaje jej: na gospodarstwie swoim nie ma nikogo, nawet służącej, nawet sam sobie gotuje. I jest szczęśliwy—tylko czasem ogarnia go za krajem ojczystym tęsknota... Ze swą długą, si-

wiejącą już brodą, niskiego wzrostu, na tle leśnych ostępów, robi zupełnie wrażenie jakiegoś krasnoludka z bajki...

Niedaleko od niego, ale już na Abranchez, mamy typ inny, p. Przeździeckiego, potomka znanej rodziny arystokratycznej. Jakie burze, jakie powikłania życiowe spędziły tego człowieka z puchów życia do walki z dziewiczą przyrodą na niewielkim gruncie—niewiadomo. Wiadomo tylko, że z początku usiłował niejako schłópieć umyślnie, a dziś znowu szuka zaspokojenia potrzeb kulturalnych.

I takie typy wyrzuca na powierzchnię Parany życie...

Abranchez, 23 marca. Już przed ósmą stanąłem na miejscu: z Bacachery jest tu zaledwie trzy kwadransy drogi.

Kościół ładny, o wysmukłej wieży, z której rozległy, malowniczy roztacza się widok, plebania mała z ogródkiem, dom dla szkoły i sióstr, grupują się dobrze na stoku wzgórza i harmonijną dla oka przedstawiają całość. Kościół z przed lat dwunastu, wieża ukończona została w r. z.

Parafia Abranchez liczy około 350 rodzin polskich, rozrzuconych po koloniach Lamenha duża, Lamenha mała, Bacatuba, Pellarzinia, Antonio Prado, Cachocira, Cashimba i Marmeleira. Przeważnie są to kolonie bardzo stare, zaludnione więc przez Polaków z Prus Zachodnich, z Galicyi i Śląska.

Dwaj księża misjonarze: superior miejscowy, ks. Hilarzek i znajomy już z Thomas Coelho ks. Kołodziej. Pięć sióstr Św. Wincentego à Paulo; dwie prowadzą szkołę na Abranchez, jedna dojeżdża do Lamenhi, jedna zajmuje się gospodarstwem i jedna prowadzi szwalnię.

Szkoła, od której zaczynam, liczy sto kilkanaście dzieci płci obojga, podzielonych na cztery oddziały w dwóch klasach. Jest bardzo dobra. Dzieci czytają doskonale, piszą dobrze w czysto i starannie utrzymywanych kajetach, z historyi odpowiadają dobrze, a śpiewem na dwa głosy, wykonanym z temperamentem pod kierownictwem wyrażnie i widocznie muzycznej Siostry, zachwycają mnie poprostu. Rodzice mają płacić mila miesięcznie, ale faktycznie płacą bardzo nieregularnie. Źródłem dochodu Sióstr jest szwalnia, bardzo dobrze i praktycznie prowadzona, której uczennice,



KAPIBARA.



PEKARI.

Z FAUNY PARAŃSKIEJ.

starsze już dziewczęta, płacą 15 milów za kurs półroczny; dziewięć godzin dziennie pracy.

Druga wizyta u miejscowego wendysty, p. Witosławskiego. Pochodzi on z Księstwa, dużo bardzo podróżował, rzucał się od Kaukazu do Stanów Zjednoczonych, a od siedmiu lat osiadł tu, gdzie mu się dobrze bardzo powodzi. Ale... myśli o opuszczeniu Parany. Może tęskni, a może po prostu nie może długo usiedzieć na jednym miejscu. On mnie obwozić będzie po koloniach. Ruszamy też zaraz po obiedzie.

Podstawą dobrobytu tutejszych kolonistów jest ogrodnictwo i mleczarstwo. Tylko wielka bliskość miasta może umożliwić życie na szakrach dwualkrowych, jakie tu rząd z początku odmierzał. Zarabiają także furmankami, a młodzież tłumnie wychodzi do miasta na służbę i roboty, co jest zjawiskiem ze stanowiska naszego szkodliwem, podlega tam bowiem wpływom brazylijskim.

Szarańczy było trochę, ale klęską jej nazwać nie można; zjadła fiżon, ale można go było sprzedać drugi raz, więc zmniejszyła tylko rezultaty.

Klęską kolonii było pijaństwo, dziś znacznie zmniejszone, dzięki agitacji księży. Ciekawe dane ma pod tym względem p. Witosławski. Dawniej sprzedawał 13 pip (9,100 butelek) kaszasu ¹⁾ rocznie, dziś sprzedaje jedną. Dawniej sprzedawał pipę wina, a dziś sprzedaje dziewięć.

Ziemia jest tu bardzo droga, chociaż teraz znowu nieco spadła w cenie. Na wzrost cen wpływa zawsze przyływ emigracji. Więc odznaczył się szczególnie w tym kierunku rok 1896, kiedy szła tłumnie emigracja z Galicyi, kiedy kolonizowano Prudentopolis i część Luceny. Cena ziemi doszła tu wówczas do niebywałych rozmiarów dwóch ty-

sięcy milrejsów za alkier, a dziś spadła do 600. Mówię tu oczywiście o samem Abranchez i gospodarstwach przyległych. Inne kolonie, już bardziej odległe od Kurytyby, są oczywiście w innych warunkach cen.

Pellarzinia jest kolonią polsko-włoską; jest też kilku Niemców. Gospodarstwa dobre, zamożne, ale niewielkie. Było tu Kółko Rolnicze, sklep spółkowy, ale nie miał powodzenia; dziś pozostał po nim tylko budynek, dzierżawiony przez p. Kokotą, który ma tu zwykłą wendę, a także szkołę prywatną, w której pobiera mila od dziecka miesięcznie.

Wendystów na koloniach jest niewielu, i z małym wyjątkami powodzi im się średnio — z powodu bliskości Kurytyby, którą widać ciągle z drogi, idącej po wzgórzu. Rzemieślników też mało; przeważnie szewcy.

Wymieniam gospodarstwa Mikusza, który przyszedł przed 24 laty z Galicyi (mleczarstwo), Gbura z Prus z przed 35 lat (furmanki), Bonawentury ze Śląska, z przed 40 laty (był on kolonistą municypalnym i zaczynał na $\frac{1}{2}$ alkrze gruntu).

Po powrocie na plebanię, zastałem ks. superiora Bajera, który przyjechał pożegnać się z księżmi, przed wyjazdem do Europy, dokąd udaje się na konwent swego zgromadzenia w tych dniach. Wszyscy razem spędzamy wieczór w gościnnym domu pp. Witosławskich.

Bacachery, 24 marca. Wyjechaliśmy z p. Witosławskim z Abranchez raniutko, udając się na Lamenhę małą. Jest to kolonia cała zakupna; kolonizacji urzędowej tu nie było. Mijamy po drodze posiadłości Włochów i Brazylian, bogatą rodzinę niemiecką Wolfów, właścicieli młyna, tartaka i wielkich dawniej obszarów, które rozprzedali między Polaków; sami się też polszczą powoli, w drugim pokoleniu, przez małżeństwa mieszane.

¹⁾ Kaszas — nieoczyszczona zupełnie wódka z trzciny cukrowej, obrzydliwie cuchnąca; po paru latach trzymania w butelce nabiera wybornego smaku.

Na Lamenhi małej było Kółko Rolnicze i szkoła, prowadzone równocześnie przez p. Ludwika Szczerbowskiego, dziś redaktora Narodu w Kurytybie. Dziś, z powodu niesnasek Kółko upadło, a szkoła stoi pustkami, bo nauczyciela niema dotąd.

Notuję gospodarstwa Wańtucha i Waclawika, z pod Gorlic, który siedzi tu już od lat trzydziestu. Podaje mi ciekawe fluktuacye cen ziemi: na początku od Wolfa kupił 3 alkry za 150 milr.; w r. 1896 znowu 3 za 1400 i przed rokiem trzy za 1,100 milr.

Przejeżdżamy na Lamenhę dużą. Była to kolonia, urządzona przez rząd stanowy i dlatego nosi nazwę ówczesnego prezydenta. Szakry były trzyalkrowe. Przed 35 laty dawano także darmowy przejazd i zapomogę na budowie i na zagospodarowanie się. Te trzy alkry wypadały po 100 milów; kiedy gospodarze dorobili się, musieli potem płacić za taki sam obszar po tysiąc milów i wyżej.

Źródłem dobrobytu tej kolonii i paru innych były dawniej liczne piece wapienne. Dziś nie są one już tak korzystne, jak dawniej, wapno bowiem znacznie spadło w cenie. Wielu właścicieli pozamykało je, inni zaś używają wapna, jako nawozu.

Rzecz charakterystyczna nietylko dla Abranchez i okolicy, ale dla wszystkich kolonii starszych wogóle, jak wszyscy starzy koloniści chwalały czasy cesarstwa, porównywując je z rzecząpospolitą. Zwłaszcza podatki miały być znacznie niższe, co jest rzeczą zrozumiałą wobec tego, że dawniej na czele stanu, wówczas prowincyi, stał tylko gubernator, a dziś stoi cały rząd stanowy z armią urzędników; i wydatki na pensye są większe i większa okazyja do nadużyć.

Wstępujemy do szkoły, należącej do tow. Św. Izydora, w której uczy 60 dzieci Siostra, dojeżdżająca cztery razy tygodniowo z Abranchez. Znajduję tu te same dobre cechy, które zaznaczyłem wyżej, z dodatkiem jeszcze jednej: koloniści są

tak wzruszeni tem, że Siostra dojeżdża nawet po złej drodze i nawet w brzydką pogodę, iż dzieci uczęszczają tu znacznie regularniej, niż we wszystkich szkołach, jakie dotąd widziałem.

Po drodze odwiedzamy kolonistę Grabowskiego, z Prus, który przyszedł przed 33-ma laty. Wraz ze starszym bratem Tomaszem, uczył on na własną rękę jeszcze wtedy, kiedy nikt w Paranie o oświacie nie myślał. Szkoła polska miała wówczas 60 milów subwencyi rządowej, o które i dziś, zdaniem p. Grabowskiego, postaraćby się można.

Jest w tem część prawdy. W wielu, jakkolwiek nie we wszystkich szkołach polskich, uczą dzieci języka portugalskiego. Zdaniem mojem, należałoby nauczanie to zrobić powszechnem, bo język miescowy jest każdemu obywatelowi Brazylii niezbędnie potrzebny, a znajomość jego w niczem bynajmniej nie wpływa na brazylijszczenie Polaków tutejszych. Wtedy zapewne możnaby było uzyskać subwencyę rządową.

Mój towarzysz mówi, że wszyscy gospodarze mają tu sporo gotówki, chociaż się do niej niechętnie przyznają. Lokują ją może mniej w ziemi, niż na innych koloniach, bo ziemia droga i niebardzo jest gdzie rozszerzać swoje posiadłości. Niektórzy, ale dość rzadko, sadzą na party u Brazylian, przyczem od 1 alkra wysadzenia muszą dać 6 kalgierów (18 alkrów) zbioru. Warunki te wydają się wygórowane, ale w lasach ziemia mniej więcej dziewicza rodzi dobrze, a tu, bliżej Kurytyby, jak wszędzie w okolicach, uprawa jest już europejska, czyli oparta na orce i nawożeniu.

Po tym objeździe, po serdecznem podziękowaniu księżom za gościnność, a p. Witosławskiemu za towarzystwo, p. Prajsa, stary, zamożny kolonista, który ofiarował szakier pod szkołę Sióstr koło kościoła, odwozi mnie do Kurytyby. Pozostała mi już przed powrotem do kraju jedna tylko wycieczka—na Lucenę.

Ludwik Włodek.



W Otwocku.

Zagasta jasne słońce zygmuntońskie, ucichły zwycięskie surmy Chocimia i Wiednia. Potężnym ciałem Rzeczypospolitej wstrząsały walki i najazdy zewnętrzne, walki i najazdy wewnętrzne. Prywata magnatów, intrygi królewiat, konfederacje ciemnej szlachty, bezgraniczna nędza i uciężenie ludu, upadek miast szarpały łono matki ojczyzny, która z szaloną szybkością toczyła się po pochyłości ku niechybnemu upadkowi. Na tę nierządną, a mimo to bogatą ziemię zwracali łakome oczy sąsiedzi. Bystry orli wzrok cara Piotra w jasnowidzeniu przeczuwał moment, gdy bez wielkiego zachodu i wysiłku ogromne ziemie litewskie i ruskie, od morza do morza sięgające dzierzawy, zaokrąglą skromne jeszcze dziedziny wielkoruskich władców; trzeba było tylko troskliwie czuwać, aby jakaś postępową reformą nie naprawiła gospodarki wewnętrznej w Rzeczypospolitej, trzeba było postawić gwarancję swobód i wolności szlacheckiej, gwarancję ciemnoty i anarchii, gwarancję upodlenia i upadku.

Nad tym rozległym, lecz słabym kolosem ziem władał kolos mocny, co zrywał sztaby żelazne i łamał w palcach swoje własne saskie talary, które torowały mu drogę do tronu Warszawy, a po śmierci zapewniały królewski spoczynek w krypcie na Wawelu obok jagiellońskich i wazowskich trumien. Król polski, nieumiejący ani słowa po polsku, król August Mocny, otoczony haremem swoich kochanek i dziesiątkami nieprawej dzieciarni, nie za bardzo cenił sobie koronę Piasta. Mimo swej mocy za słaby był do władania potęgą obszarów od Odry do Dźwiny, od Bałtyku do Dniestru. Korona Chrobrego, tak dzielnie przylegająca do rycerskiego szyszaka, chwiała się na pudrowanej, siwej peruce z harcapem.

Głowa koronowana, w chwilach wolnych od miłostek, potrafiła jednak kreślić także plany polityczne, i to tak genialne, że otrzymały one w kancelaryach Drezna, Wiednia, Berlina i Petersburga nazwę „wielkiego planu“ „grand dessein“ J. K. M. króla polskiego i wielkiego księcia litewskiego. Dynastyczne popędy mocnego Wettina pragnęły korony niewielkiej, lecz pewnej, mocno na głowie siedzącej i w tej głowie pomazańca katedry na Wawelu, zaprzysięgającego pacta coventa wśród sarkofagów Łokietka i Kazimierza Wielkiego, między stwoszowskim pomnikiem Kazimierza Jagiellończyka, a perłą renesansu zygmuntońskiego, w pobliżu kaplicy Batorego, co spoczywa we śnie po trudach Wielkich Łuków i hołdzie Pskowa, w gło-

wie tej roi się haniebny plan, „grand dessein“, pierwsza ohydna myśl podziału kraju z pomocą ościennych mocarstw, za ich zezwoleniem i za stosownem wynagrodzeniem. Kto wie, czy składając rotę przysięgi królewskiej, gdy mgłą kadzideł osłonięta była trumna św. Stanisława, gdy drżała nawa katedralna od hymnu „Te Deum laudamus“, czy już wtedy pod czaszką pomazańca nie snuły się pierwsze linie „wielkiego planu“, który przecież tak bardzo był prosty: kraje pruskie Brandemburczykowi, litewskie—carowi, drobniejsze na Śpiżu, jako odczepne Jego Arcyapostolskiej Mości w Wiedniu, a resztę (le reste) zachować dla domu saskiego z tytułem dziedzicznego monarchy. Taki był „grand dessein“, prawie w sto lat później zrealizowany częściowo, bo jakgdyby przez Nemezis dziejową tak spaczony, że na podziale kraju dynastia Wettinów nic nie skorzystała. Gdyby ten plan kreślił car Piotr, pracy całą siłą ku Zachodowi, zaokrąglający skromną sukcesję Iwana Kality, gdyby „grand dessein“ zrodził się w głowie najnowszego króla Europy, co jeszcze nie dopasowaną miał na głowie, świeżo od jubilera berlińskiego sprowadzoną koronę, a wazkie, długie, niezgrabne cielsko potęgi pruskiej pragnącego utuczyć ujściem Wisły i doliną Noteci, ani byłoby to dziwne, ani godne potępienia. Ale żeby plan taki powstał w umyśle tego, co zasiadł na piastowskim tronie, co wziął spadek po Jagiellonach i Batorym, to zaiste nie było w dziejach większej podłości. Nie było też wcale sprawiedliwości, bo na tę pudrowaną perukę, słodko biesiadującą w haremie, powinna spaść gromem srebrna trumna katedry wawelskiej i bezlitośnie zgnieść ohydę królewską. A jeżeli Śmiały król Bolesław błagał: „Zostaw koronę, nie dla mnie, dla syna! Zostaw, bo cała mnie Polska przeklina!“, to August zostawił wprawdzie koronę dla syna, ale przekleństwo Polski winno ścigać jego imię, a hańba i pogarda za „grand dessein“ niczem nie da się przebłagać. Sam August czuje podłość swych machinacji, bo, gdy w wigilię śmierci zwierza się z nich chytremu wysłańcowi króla pruskiego, zastrzega się: „nie rób z tych rzeczy hałasu, bo Polacy gotowi jeszcze skrócić mi kark, słyszysz!“ Przed samą śmiercią wyciągnął król August „wielki plan“ przed rosnącą potęgą króla pruskiego, ale w zaraniu swego panowania jeździł z towarem tym na sprzedaż komiwojażer saski do „ukochanego brata, sąsiada i przyjaciela“ z nad Newy, do cara Piotra Wielkiego. Zjazd obu ukochanych braci, sąsiadów



PAŁAC W OTWOCKU OD TYŁU.

Fot. J. T. Grotkowski.

i przyjaciół odbył się niezbyt rozgłośnie, nie w uiluminowanych, huczących dźwiękami dzwonów stolicach, nie przy 101 wystrzałach z dział. Nie, odbyło się to wszystko cichutko, poufnie, bo rzeczy mówiono delikatne, subtelne, a jeżeli w roku 1732 bał się król August o swój kark, to o ileż bardziej musiał się o niego niepokoić w roku 1705. Należało pogawędzić w cztery oczy, zdala od wścibskich dworzan, od podejrzliwych oczu magnatów. „Jeden z przyjaciół króla podjął się usługi”. Pan Marszałek W. Korony, Kazimierz Bieliński, wielki czciciel potęgi saskiej, miał tylko co wykończony zaciszny pałac na wyspie, wśród jezior i kanałów. Ukryty wśród puszczy, od stolicy niedaleko, droga nieuciążliwa, do haremu wrócić łatwo, nie trzeba go było wozić ze sobą, słowem sielsko i anielsko w otwockim pałacu posiedzieć na łowach. A łowy na grubego zwierzia były. Nie wśród olbrzymów puszczy, lecz w ogrzanej sali, na stole rozłożono mapy i król August przed ukochanym bratem, sąsiadem i przyjacielem jął z zapałem kreślić linię swego „grand dessein”. Co myślał o nim sąsiad, co myślał o planie, nie trudno domyśleć się, co myślał o człowieku—też chyba nie trudno. W tych oto murach stał się ohydny mord. W tych murach wylął się potwór. W tych salach adamaszkowe obicia głuszyły szept

poufnej rozmowy przyjaciół, a czuwał nad tajemnicą sprawy usłużny Marszałek Bieliński i jego małżonka, Morsztynówna z domu, córka poety Andrzeja.

Bielińscy, to stara mazowiecka szlachta z ziemi ciechanowskiej, pieczętowali się herbem Junosza, który to herb dość był rozpowszechniony zarówno na Mazowszu, jako też i na Kujawach. Kolonizacya mazurska zaniósła go na zdobyte od Jądzwingów Podlasie i dalej jeszcze za Bug, na żyzne łąny podolskie i ukraiń-

skie. Bielińscy z Mazowsza poszli i Mazowsza się trzymali. W 1546 r. jeden z nich był biskupem płockim, niedługo jednak cieszył się infułą, gdyż tylko 48 dni swą godność piastował. Innych senatorów w rodzie swoim Bielińscy nie liczyli, dopiero w XVII wieku zaczęli się wybijać, a w XVIII doszli do potęgi. Potęga ta wyrosła na ziemiach pruskich. Franciszek Jan już wojewoda malborski ożenił się z bardzo bogatą wdową Zofią d'Achersloffer i rzucił podwaliny pod potęgę rodu. Ród ten już stale odtąd trzyma wojewodzińskie godności w Malborgu lub Chełmie, a nadto parokrotnie dzierży w swej dłoni urząd Marszałka W. Koronnego. Bielińscy powodzenie swoje oparli na wiernej służbie dla domu saskiego, który wdzięczną dłonią rozdawał im intratne starostwa, podnoszące splendor i znaczenie ciechanowskiej szlachty; a wierni byli Bielińscy saskiemu majestatowi aż do granic związków rodzinnych, wprawdzie z nieprawemi córkami, o które nie było trudno na dworze Augusta Mocnego, aleć zawsze, choć z haremu, ale krew królewska.

Fundator potęgi rodu, wojewoda malborski ze swojej starej, a bogatej wdowy zostawił jednego syna, Kazimierza. To właśnie był uprzejmy gospodarz otwocki, w którego sali kreślono „grand dessein” Augusta Mocnego. Zmarł Kazimierz w

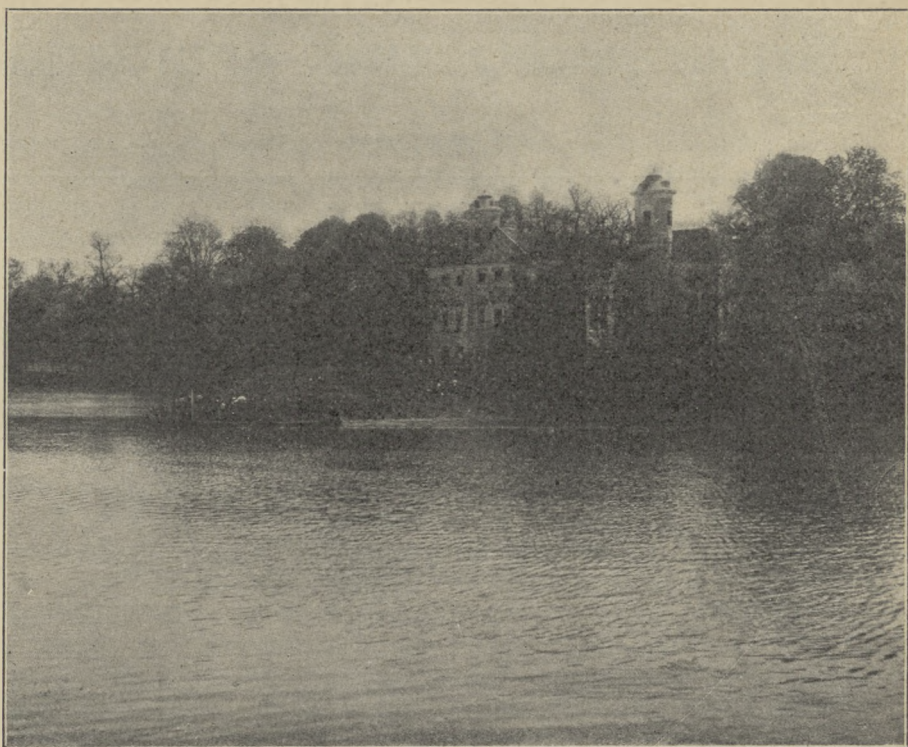


osiem lat po poufnych naradach marnarszych, zmarł, zostawiając dwóch synów, Franciszka i Michała.

Wdzięczny za wierną służbę ojca, rychło dał król synowi urząd marszałkowski, który Franciszek Bieśliński ujął bardzo mocną i sprężystą ręką. Dla nas warszawiaków, rozkochanych w swej stolicy, marszałek Bieśliński ma znaczenie pierwszorzędne. Miasto po niedawnych okropnościach pierwszej i drugiej wojny szwedzkiej było w ruinie, w całkowitem zaniedbaniu. Trzeba było uporządkować je, zaprowadzić ład,

ująć w sprężystą dłoń nie tylko miecz sprawiedliwości, ale też i miotłę stróża i lampkę latarnika i wiadro nosiwody. Na uporządkowanie takie potrzeba było pieniędzy, a tych skarb nie miał, a obywatele miasta jęczeli i narzekali, jak to czynią i dzisiaj, gdy idzie o jakie ulepszenie w mieście. Nie zważając na protesty, na złorzeczenia i narzekania, marszałek robił bruki, tępił rozboje, wprowadzał oświetlenie miasta. Ułożył plan stolicy, a przez Bieliny, swoje posiadłości między szpitalem Dzieciątka Jezus a Mokotowem, przeciął szeroką prostą ulicę, która dziś stanowi ozdobę i dumę miasta, bo to jest dzisiejsza ulica Marszałkowska. Ile złości, ile potwarzy spadło na głowę marszałka, ile plotek, ile intryg przeszedł, ile paszkwilów i epigramatów napisano nań, tego trudno nawet przeliczyć. Marszałek, wcale nie pobożny, procesujący się o dziesięciny z duchowieństwem, sławę swoją i opinię oddawał pod opiekę świętych pańskich, a zwłaszcza św. Jana Nepomucena, patrona dobrej sławy, którego figury, do dziś dnia stojące w Warszawie na placu Bankowym i placu Trzech krzyży, swoim sumptem wystawił.

Ciekawą też prowadził Marszałek politykę: było wtedy dwóch królów polskich, *sas* i *las*; Au-



PAŁAC W OTWOCKU OD FRONTU.

Fot. L. Ostaszcwski.

gust królował w Warszawie, a znienawidzony przez nich i nawzajem nienawidzący go Stanisław Leszczyński siedział w Nancy pod opieką swego zięcia, króla Ludwika XV.—Sasy i Lasy żyli w nienawiści, ale sprytny działacz ówczesny potrafił godzić różnice poglądów. Pan Marszałek brał od obu królów: August rzucał mu hojnie liczne starostwa, Stanisław wykołatał u królewskiego zięcia stałą pensję dla Marszałka, skromne 16.000 franków. Marszałek wzdychał, chował do jednej kieszeni saskie talary, a do drugiej francuskie luidory, jasno dowodząc, że różnice polityczne łatwo mogą być załagodzone i uregulowane.

Brat Marszałka, Michał, wojewoda Chełmiński, z uwielbienia saskiego został aż zięciem Augusta, ożenił się bowiem z jego córką, wprawdzie z nieprawego łoża, ale zawsze posażną panienką, hr. Rutowską.

Marszałek potomstwa wybitniejszego nie zostawił, brat wojewoda miał dwóch synów, Stanisława i Franciszka. Stanisław krótką miał karierę polityczną, ale za to wstrętną, pod jego bowiem łaską przeszedł sejm grodzieński z pierwszym podziałem kraju.

(d. n.)

A! Janowski.



Stary podręcznik krajoznawstwa.

Jest to pośmiertne (opus posthumum) wydanie dzieła jezuitę Gabryela Rzączyńskiego z roku 1742, w Gdańsku, p. t. „*Auctuarium historiae naturalis Regni Poloniae Magnique Ducatus Lithuaniae annexarumque provinciarum in puncta XII—Ex scriptoribus probatis, servata primigenia eorum phrasi in locis plurimis, ex M. SS. variis, testibus oculatis, ex revelationibus fide dignis, experimentis desumptum*”.

Kto zgadza się z Wyspiańskim, że najlepszym towarzyszem człowieka o zmierzchu i szarości jest dobra stara „książeczka“, ten nie pożałuje chwil przedwieczornych i trudów ciągłego rozkopywania słownika łacińskiego, aby wszystkie dwanaście rozdziałów pocziwego jezuitę przejść chociażby dla smaku myszki czy zmierzchu onej przeszłości, z której powstała nasza terażniejszość naukowa. Egzemplarzem służy chętnie niżej podpisany.

Bo syllabus materiarum tej książki zawiera tytuły łechcące, jako to: „de fossilibus; de gemmis, lapidibus nobilioribus, ignobilioribus, figuratis vulgaribus; de salibus, mineralibus, metallis, salisfodinis Wielicensibus et Bochnensibus; de terrae fertilitate, plantis officinarum, cocco polonico; de montibus, fontibus, aquis bituminosis, sulphuratis, petrificantibus medicatis, noxiis, salsis; de fluminibus, lacubus, piscibus fluviatilibus, insulis natantibus, stagnis, Mari Balthico, piscibus marinis, succino; de sylvis, arboribus, fruticibus, suffruticibus; de animalibus sylvestribus, campestribus, amphibis, subterraneis, domesticis, venenatis, insectis; de avibus feris et familiaribus; de viris et faeminis longaevis, faecundis, robustis, agilibus, proceris, multi cibi ac potus, qualitatibus rarioribus hominum corporis partibus; de monstribus humanis, belluinis, volatilibus, fame, peste, vegetabilibus, anni partibus; de meteoris ignitis, aqueis, aereis, terreis simulacris, insolitis in aere, cometis, chimia”. — Jak widzimy multum, co się komu podoba i czego dusza krajoznawcza zapagnie. Co się tyczy treści, to ona — rzecz prosta (r. 1742) — więcej anegdotyczna, niż systematyczna, pisana wzorem średniowiecznych „kosmografii“ z dużą wiarą w materyały

ludzkie książkowe, popstrzona niesłychaną ilością cytat, tytułów dzieł i nazwisk autorów ku większej oczytania autorskiego chlubie, opatrzona większą dozą miłośnictwa przyrody, niż znajomości przyrody, lecz niemniej przeto — jak stary grób — z którego się „kurze omiata“ dla krajoznawcy ciekawa. Warto się dobrnąć do ostatniej stronicy, gdzie autor pisze (w dosłownym przekładzie): „kończę dwanaście rozdziałów mego auctuarium słowy pisany. — Wielkie są bogactwa przyrody, tuziemcom nieznane. — Tę nieznajomość kraju i jego bogactw przyrodzonych wśród moich rodaków opłakuję ja serdecznie — ojczyzno najmiłsza, gdybyś ty o skarbach swoich wiedziała“. — Chęć uświadomienia tej ziemi, podniesienia jej wartości przez samowiedzę wraz z serdeczną miłością prze-wija się przez wszystkie rozdziały. Chwali się więc nie tylko tem, że w Polsce nie raz, a cztery razy zrobione było prawdziwe złoto przez Michała Sędziwoja, że kamień filozoficzny wynalazł już dawno jakiś paulin w Częstochowie, ale i tem, że ziemia tu bogatsza, niż gdzieindziej, powietrze zdrowsze, natura obfitsza i szczerza, ludzie silniejsi i mężniejsi.

Interesuje go wszystko, co się gdziekolwiek na niej znalazło lub znajduje.

Obok nazw łacińskich podaje niemieckie i polskie. Tak np. cespites fossiles po niem. torf a po polsku „ruda ognista“, której pochodzenie tłumaczy tak, jak i my dzisiaj przyjmujemy, lecz dodaje jeszcze, że posiada ona „liquorem antiscorbuticum incomparabilem“, opowiada o pożarze olbrzymich torfowisk na Węgrzech, zapalonych ignibus subterraneis i t. d. Pod nazwą ebur fossile rozumie prawdopodobnie wszelkie skamieliny organicznego pochodzenia, które uważa za resztki to słońi, przypędzonych tu kiedyś jakimś przypadkiem z Indyi, to potworów morskich, wyrzuconych na brzeg przez fale morza. A więc wyżej cokolwiek już stoi od niektórych swych kolegów z zachodu Europy, którzy je jeszcze wtedy uważali za płody wprawek Pana Boga w tworzeniu organizmów. Liczne wskazuje miejsca w Polsce złoży skamielin drzewnych, litoksyłów i t. p., z których słusnie o krajobrazach dawnych roślinnych tu i ówdzie rozumuje. Wogóle — botanik z niego ze wszystkiego najlepszy — a fascykuł roślin radszych i egzotycznych ogrodu imci p. Jakoba Klejna „*excellentis indagatoris naturae*“, w Gdańsku podany przez niego, wskazuje w powabie i wdziękach kwiatnych rozmiłowanie wielkie, a u autorów cytowanych bogactwo tytułów iście egzotyczne.



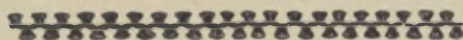
Geografia za to—od bolenia zębów—co się nazywa. Karpaty ciągną się aż do morza Czarne-go, z najwyższego ich szczytu—przy pogodnym niebie—można widzieć Warszawę; Dunajec Czarny przepływa przez jezioro, zwane Morzem Czarnem, Prądnik wypływa z pod Pieskowej Skały i t. p., ale wie za to o Stawie Popradzkim, Dolinie Jaworowej i o zmianach ujść Wisły.

Wogóle rzeczy cenne (jak np. wiadomości o tem, z których ryb jaka rzeka słynie i które w jakiej porze roku do niej z morza wchodzi) pomieszczone są z banialukami scholastycznymi, które Rzączyński świętobliwie traktuje. Opis zwierząt dzikich i domowych ziem polskich sympatycznie się przedstawia przez to, że z dużą

spostzegawczością i zainteresowaniem autor maluje ich życie i obyczaje. Dział, dotyczący się ludzi—szczególniej obżartuchów, pijaków, matołków, kobiet wielomiotnych, potworów urodliwych i pokrak zapatrzeniowych, dużo wesołości czytającemu dostarczyć może, gdy się z kuchenną łąciną średnio-wieczną upora.

Auctuarium Rzączyńskiego nie jest zjawiskiem pojedynczym,—antykwaryat archeologiczny krajoznawstwa mało co mniej bogatszy jest od historycznego, bo i Kadłubek i Długosz nawet fizyografią się ojczyści—już nie mówiąc o innych—zajmowali. Powrócimy do listy tych dawnych krajoznawców kiedy indziej.

Konrad Chmielewski.



Sven Hedin w Tybecie.

2)

Dobrze już po północy dopiero spotkała się osada łodzi z idącą brzegiem karawaną i długo jeszcze trwało układanie się na spoczynek, uspakajanie mułów i koni, kłótnie ludzi, którzy jeszcze nie mieli czasu żyć się ze sobą. A kiedy się nazajutrz Sven Hedin rano obudził, już była cała czereda oddawna w drogę ruszyła i nie pozostawało, jak ruszać za nią pośpiesznie, zjadłszy śniadanie i nakarmiwszy trzy małe psięta, które się jako przybłądy ze sobą w drogę zabrało.

Choć to było wszystko jedynie wstępem, choć ani właściwa podróż jeszcze się nie rozpoczęła, ani nawet przygotowania do niej ukończone nie były, już te pierwsze kilka dni drogi nie pozbawione były mitręgi i trudu. Wprawdzie dzięki wydanym przez władze kaszmirskie poleceniom nie było kłopotu z nabywaniem żywności, za to dodana z Srinagar eskorta i większość wynajętych ludzi okazała się bandą próżniaków, nicponiów i wartogłowów. Raz po raz gnały za karawaną skargi na skradziony garnek lub sprzątniętego w przejeździe barana i trzeba było nie tylko przeprowadzać długie i zmudne śledztwa, ale zwracać skradzione przedmioty z hojnym na odszkodowanie dodatkiem. Nie obywało się też bez środków o całkiem już kaszmirsko-tybetańskim charakterze, bo raz trzeba było zapierającego się uporczywie złodzieja przywiązać na trzy godziny do drzewa, zanim się przyznał do popełnionej kradzieży. W końcu końców już w drugiej połowie drogi do Leh było tego wszystkiego zanadto i po krótkiej rozprawie skończyło się na rozpędzeniu całej ha-

łastry na cztery wiatry, za wyjątkiem Manuela, Roberta i dwóch żołnierzy z eskorty. Muły prowadzili dalej wynajęci po drodze wraz z 77 końmi przewodnicy.

A i teren też był coraz dzikszy, coraz trudniejszy. Droga pięła się niekiedy na urwiste grzbiety pasm górskich, na półczwarta kilometra wysokie przełęcze, na zdradne i oślizgłe, wieczne śniegi, po których samym brzegiem przepaści wijsię się ścieżka. Co i raz rozlegał się zapowiadający nieszczęście krzyk przerażenia, a choć nikt, ani z ludzi ani ze zwierząt nie zginął, przecież szło się ciągle z grozą niebezpieczeństwa u boku.

Po dusznym, zgniłym gorącu równin indyjskich tu już było świeżej, jeżeli nie chłodniej. Nocą temperatura spadała do 11°, co odzwyczajonemu od chłodu organizmowi tak się mocno dawało we znaki, że się trzeba było otulać futrem. Dnie zato, zwłaszcza już po spuszczeniu się z gór, bywały skwarne, a roje owadów dawały się i ludziom i zwłaszcza mułom dobrze we znaki.

Ale bądź co bądź było to lepsze, niż bezplodne oczekiwanie i szamotanie się w Simli i Srinagarze. W ciągu dnia brak było czasu na rozmyślanie o dalszych, jeszcze niepewnych losach wyprawy; wieczorem, chwilę posłuchawszy wyjących w pustkach szakali, trzeba było iść spać i na drugi dzień znowu iść dalej.

Od Szirgul zaczęto coraz częściej spotykać buddyjskie świątynie, zwykle przyczepione do szczytu skalistego pagórka i panujące nad sąsiednią dolinką. Otoczone murami i grobowcami drze-

mały cicho, jakby wymarłe — tylko czasem przemknął się w czerwoną togę ubrany lama. Dopiero w wielkim i starym klasztorze Lama jura przyjął wędrowców przełożony w otoczeniu mnichów, którzy odtańczyli w straszliwych, poczwarnych maskach na twarzy, swój święty taniec. Posępnie i przeraźliwie brzmiały przytem tony długich mosiężnych trąb, których drugi koniec trzymał mały chłopiec na ramionach, tak były długie i ciężkie.

A za klasztorem w kilka godzin już był brzeg świętej, potężnej, o nieznanych nikomu źródłach rzeki—Indu. Po karkołomnej drodze przez dziką, wąską, ku rzece spadającą dolinę wyjeżdża się nad jej mętne, pełne mocy i jakiegoś potężnego rozpędu wody, brzegiem których wiedzie dalej kręta, miejscami wielce niebezpieczna drożyna. Gdzieś niedługo prawie że w gęste — tak mętne — wody Indu spada z wysoka, wbija się potok, zdyszany, spieniony, szmaragdowo zielony. Przejrzysty, jak mgła subtelny, podnosi się z rzeki pył wodny. Nieco dalej łączy kamienne brzegi zuchwale rzucony mostek o ustępujących, chwiejących się belkach.

Dopiero 1 Sierpnia przybiła karawana do Leh. Po raz ostatni na długie miesiące zajechano pod stały dach; po raz ostatni rozwiązały się mieszki i srebrny potok rupii popłynął niepowstrzymanym pędem. Tam, na pustyni już nie będzie na co wydawać, tam karawana może tylko samą siebie zjadać i —topnieć.

Trzeba było zacząć od najważniejszego, od wyboru przewodnika karawany. Kandydatem bez konkurencji i bez zarzutu był znany już Hediniowi z poprzednich podróży Mahmud Iza, wielokrotny przewodnik uczonych podróżników, który ostatnio w tym charakterze chodził z pułk. Younghusbandem i jego ekspedycją karną do Lassy. Był to rosły, krzepki, mądry mahometanin, o żelaznej energii, która dochodziła czasem do surowości i która zresztą nie wyłączała ani wielce równego humoru ani dobroduszných facecji, jakimi później w długie wieczory zimowe lubił towarzyszy zabawiać. Nadzorcą koni i mułów był jego przyjaciel, również mahometańczyk 62-letni Guffaru, człowiek zatem już stary, co nawet początkowo napełniało Hedina obawą. Ale Guffaru kłął się, że podróż wytrzyma i tylko od wszelkiego przypadku wziął w drogę ze sobą, przepasawszy się nim jak pasem, swój całun śmiertelny. Obydwaj wynajęci byli na daleką i ciężką drogę, mającą trwać parę lat, bez bliższego jednak określenia celu podróży; oczywiście z rodzaju przygotowań i pewnych ubocznych zapytań, Mahmud Iza domyślał się, że chodzi tu nie o co innego, jeno o Tybet, który zresztą, jak zapewniał, zna nie gorzej niż swoje podwórko.

Potem trzeba było kupować konie. Żeby nie podbijać zbyt wysokie ceny i że szło o wyborowe

jedynie siły, postanowiono nie nabywać dziennie więcej niż 2—3 sztuki. Nabywano przytem nie bezpośrednio, ale przez utworzoną ad hoc z kilku poważnych mieszkańców Leh komisję, która oceniała wartość każdego konia, i albo nowy nabytek szedł od razu do stajni, albo wracał do domu i najczęściej na drugi dzień — ponownie był przyprowadzany. W ten sposób wkrótce stało gotowych do drogi 58 koni, z tych 33 z okolic Leh z Ladaku, a 17 turkiestańskich. Wybierano przede wszystkim konie już starsze, choćby nawet dwunastoletnie, bardziej już z trudami takich zabójczych wypraw oswojone, i jak się później okazało nie omylono się w tej rachubie. To jest nie omylono się względnie, bo koniec końców ani jedno z tych zwierząt — 58 koni i 36 mułów — do domu nie powróciło: wszystkie padły w Tybecie. Słusznie kapitan Patterson, komisarz angielski w Leh, który nawiasem mówiąc stale okazywał wielce życzliwą pomoc w przygotowaniach do tej wyprawy — „do Turkiestanu“, mówił przy wyjściu: Morituri te salutant.

A i tak przecie, żeby oszczędzić biedakom trudów pierwszych tygodni donajęto pomocniczą karawanę z 30 koni, która miała dopomóc do wejścia na krawędź płaskowzgórza tybetańskiego i wrócić potem do domu.

Kosztom i mitręgą było też naprawianie błędów, popełnionych w Srinagar. Okazało się, że oprócz mułów wszystko niemal, co tam nabyto, było, mówiąc poprostu, psa warte. Siodła trzeba było szyć wszystkie na nowo, toż samo skrzynki, toż samo cała masa innych rzeczy, które jeżeli nawet były możliwe, to kosztowały bająskie sumy.

W rupiach przedstawiały te przedwstępne momenty, jak następuje.

Życie (ryż, mąka i herbata cegiełkowa) dla ludzi oraz konserwy, cukier, tytoń i herbata dla Hedina kosztowały w samym tylko Leh — 1700 rupii.¹⁾ Nowe siodła, podkowy, łopaty, topory, okrycia, miechy, garnki i t. d. — 1000 rupii. Karawana pomocnicza 1950 rupii. 58 koni po przeciętnej cenie 63 rupii za sztukę — 3654 rupii. Muhamed Iza miał brać 40 rupii miesięcznie, 25 ludzi do prowadzenia koni i mułów po 15 rupii miesięcznie i 50 rupii gratyfikacji dodatkowej po skończeniu podróży. Jeżeli zauważymy, że w sumach powyższych niema wydatków w Simli i Srinagarze, niema kosztu sprzętów, nabytych w Europie, dojazdu do Leh, furazu dla zwierząt, pensji Manuela, Roberta i eskorty, i że to był dopiero wstęp — trzeba przyznać, że podróż do środkowej Azji — są nie tylko rzeczą szalenie uciążliwą i trudną, ale i dosyć kosztowną. Za to pod względem przygo-

¹⁾ Rupia — około 90 kop.

owania, żadna z wypraw europejskich, nie była zdaniem kompetentnego w tych rzeczach Pattersona, uposażona tak, jak ta właśnie.

W wolnych chwilach robiło się znajomości i zwiedzało miasto. Leh, które jest stolicą Ladaku, miało dawniej swych własnych królów, wygnanych potem przez władców Kaszmiru. Ich następca, ex-król już w trzecim pokoleniu, mieszkał w małej wiosce

po drugiej stronie Indu i na prośbę Hedina wydał mu z dość widoczną nawet przyjemnością rodzaj paszportu do Tybetu, który zresztą pomimo wielkiej, czworokątnej, czerwonej pieczęci okazał się potem dokumentem wielce wątpliwej użyteczności.

Ciekawszą i pożyteczniejszą była znajomość z jednym z najznakomitszych w Leh kupców Hadzi Nazerem Szachem, który ma liczne filie swojego przedsiębiorstwa w Kaszmirze i Tybecie i który w imieniu maharadży Kaszmiru odwozi co trzy lata dalaj-lamie z Lassy podarki, będące symbolem duchowego zwierzchnictwa Tybetu. Wszystkie te oddziały i filie prowadzone są przez niego samego lub przez jego synów i wnuków. Złożona mu w towarzystwie Pattersona wizyta była niewątpliwie jedną z mniej zwykłych w tej niezwykłej podróży. Na pierwszym piętrze, w wielkiej komnacie, przez której olbrzymie okno miało się przepyszny widok na dolinę Indu, siedział na stosie poduszek, otoczony niezliczoną rodziną, stary patriarchy. Tuż obok stały skrzynie pełne srebrnego i złotego proszku, turkusów i koralu, materii i najróżnorodniejszych towarów, przeznaczonych do Tybetu. Właśnie jeden z synów wybierał się do Gartoku. Ale pomimo życzliwej, czy pseudo-życzliwej uprzejmości, na półżartem postawione pytanie, czy nie możnaby się z nim przeczładować, odpowiadało bezwzględnie i stanowczo, że to żadną miarą nastąpić nie może, i że w razie wykrycia przemycanego Europejczyka w kara-

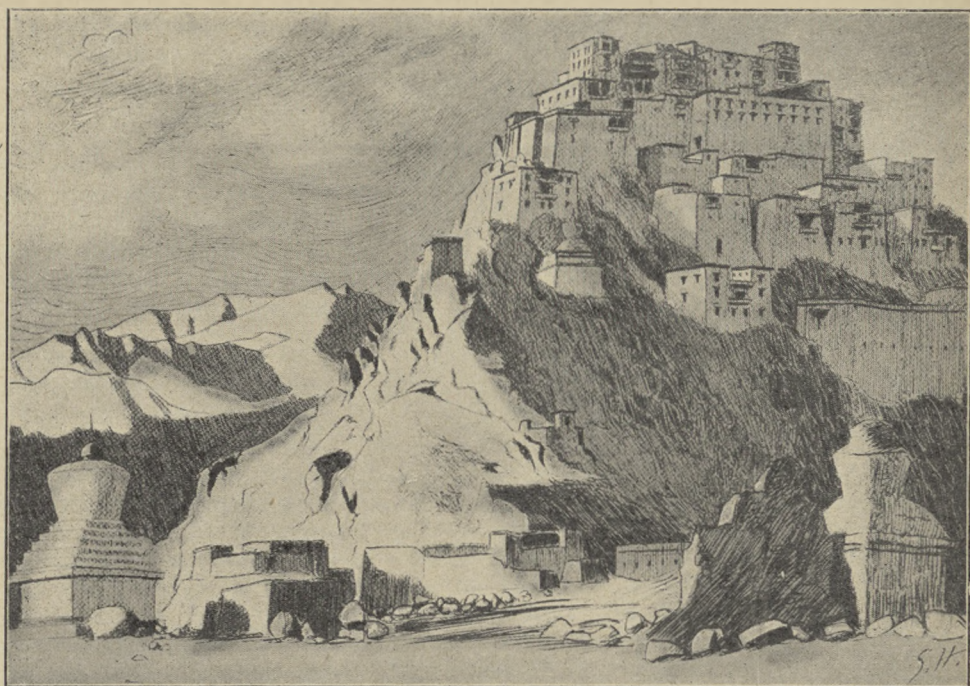
wanie, całej rodzinie zamkniętoby wstęp do Tybetu.

Jak potężne orle gniazdo czepia się szczytu gór tuż pod Leh wielki klasztor męzki buddyjski, a tuż obok opuszczony dziś pałac dawnych królów Ladaku. Z płaskich jego dachów ma się przed sobą jeden z tych nieporównanych, dzięki potęgą potężnych widoków na Ind, na ciemne, ponure góry, na jaśniejszą gdzieś tam plamę świeżej zieleni, na pusty i posępny cmentarz mahometański; u stóp leży płatanina uliczek, zaułków, domów w kształcie sześcianów zbudowanych, altan i ogródków, dalej wsie i gaje topolowe. Do pałacu wchodzi się przez pięknie rzeźbiony portal, a długi, ciemny, kamienny korytarz prowadzi do również ciemnych, schodów kamiennych i dalej naokoło gmachu. Czasem, jak boczne gałęzie, idą od niego małe korytarzyki do zawieszonych na zawrotnej wysokości balkonów; inne wiodą w ciemną, głuchą, niezamieszkałą głąb pustego budynku, w którym tylko słodkie gruchanie gołębi słychać.

A w krwawych promieniach zachodzącego słońca widać tuż poza bungalowem Pattersona cmentarzyk, na którym jest 5 grobów europejskich. Nad grobem słynnego podróżnika, Stoliczki, zmarłego przy przejściu Karakorum, postawił wdzięczny rząd angielski duży granitowy obelisk. Tuż obok śpi Dalgleish, zamordowany na tem samem Karakorumie. Dla tych, którzy już padli — nagroda, dla tych których chcą iść w ich ślady — przestroga.

(d. c. n)

St. Th.



KLASZTOR W LADAKU.

rys. Sven Hedina.

Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



W środę d. 11 b. m. odbyło się zebranie miesięczne Polsk. Tow. Krajoznawczego, na którym poza komunikatami od zarządu, złożonymi przez p. K. Kulwiecia, wygłoszone zostały dwa interesujące referaty: Z. Glogera — p. t. „O grodach piastowskich” i p. J. Kosmowskiej — p. t. „Krajoznawstwo jako podstawa pracy społecznej”. Następnie ostatnie przed feriami wakacyjnymi zebranie miesięczne odbędzie się d. 1 czerwca, a ma na niem być wygłoszony odczyt p. W. Nałkowskiego p. t. „Polska jako kraina przejściowa”.

Komisja wycieczkowa w ubiegłym tygodniu przyjechała w Warszawie dwie grupy uczącej się młodzieży: —1) słuchaczki seminarium nauczycielskiego ze Lwowa pod kierunkiem przełożonej swej p. Zofii Strzałkowskiej, w ilości 60 osób, które w Warszawie zabawiły od 2 do 5 maja, zwiedzając pod kierunkiem członków komisji zbiory naukowe warszawskie i Wilanów; 2)—35 uczniów szkoły handlowej z Włocławka pod kierunkiem dyrektora swego p. J. Szczepańskiego, którym gościnę zaofiarowała w swych murach szkoła realna W. Wróblewskiego.

W niedzielę, 8 b. m., Oddział Kujawski P. T. Kr., łącznie z Oddziałem Łódzkim i grupami osób z Warszawy i Łowicza udał się na wycieczkę do prastarego, niegdyś możnego i sławnego grodu Łęczycy. Uczestnicy zwiedzili po drodze dwór i park właściciela Kutna, w Łęczycy zaś—ruiny zamku kaźmierzowskiego, kościoły i inne osobliwości, nadeszłyżko zaś wspaniały kościół kolegiacki romański z XII w. w Tumie pod Łęczycą. Należy podnieść wielką gościnność i serdeczność przyjęcia, jakie mieszkanki i mieszkańcy Łęczycy zgotowali uczestnikom wycieczki w teatrze miejscowym, zostawiając wśród wycieczkowiczów jak najmiłsze o Łęczycy wspomnienie, którego nie mogły zatrzeć strumienie mniej gościnnego deszczu. Szczególniejsze podziękowanie należy się panom: Biedel, Chrepińskim, Głoszkowskiej, Jagielskiej, Kiedrzyńskiej, Korcjo i Wertell. Jednym z wielce dodatnich stron tej wycieczki będzie, jak należy się spodziewać, założenie w Łęczycy Oddziału Tow. Krajoznawczego.

Oddział Piotrkowski ułożył na r. b. następujący projekt wycieczek.

5 maja—do opactwa Norbertanów w Witowie.

15—16 maja—przez Myszków do Żarek, Bobolic, Mirowa, Ostreżnik, Złotego Potoku, Olsztyna i Częstochowy.

25—29 czerwca (łącznie z Oddziałem Kujawskim)—pod Płowce, nad Gopło, do Kruszwicy, Gniezna i Poznania.

10 sierpnia—do Tomaszowa Rawskiego, „Błękitnych źródeł” i do zamku w Inowłodziu.

4 września—do Radomska i do Strzałkowa.

25 „ „ „ Gorzkowic, Ręczna i do zamków nad Pilicą (Majków i Skotniki).

Oddział Łowicki zapowiada następujące wycieczki:

8 maja—do Łęczycy przez Kutno.

15—16 maja—do Tomaszowa Rawskiego.

5 czerwca — do Jachowic — Zdun, Sobót, Walewic i Chrościna.

4 września—do Gostynina przez Kutno.

11 „ „ Sochaczewa i Żelazowej Woli.

18 „ „ Żyrardowa i Walewic.

25 „ „ Arkadyi i Nieborowa.

Projektowana na dzień 29 maja przez Komisję Wycieczkową Warszawską łącznie z kilkoma Oddziałami prowincjonalnymi wycieczka do Kowala w r. b. do skutku nie dojdzie.

O przebiegu pogody w miesiącu kwietniu 1910 r.¹⁾

(według spostrzeżeń nadsyłanych do wydziału meteorologicznego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego). --

Szybkie zmiany pogody, jakie wogóle charakteryzują miesiąc wiosenne w naszym klimacie, występowały dobiśnie i w kwietniu tegorocznym. Okres najcieplejszy wypadł w środku miesiąca: od 14 do 19 kwietnia; temperatury najwyższe dzienne przekraczały na wielu stacjach 20° C, a temperatury nad ranem utrzymywały się na poziomie, koło pięciu i więcej stopni od punktu zamarzania. W dn. 17 kwietnia zanotował p. W. Hubert na stacyi w Nowej Słup w pow. kieleckim 22°,5 w cieniu, co jest wartością wysoką, jak na tę porę roku.

Krótkotrwałe okresy chłodniejsze, połączone z przymrozkami rannymi, występowały w początkowych dniach miesiąca, dalej między 10-ym i 13-ym, 23-im i 25-ym i wreszcie w dniu 28-ym i 29-ym kwietnia.

Średnie temperatury za kwiecień tegoroczny wahały się na stacyach w Królestwie przeważnie koło 8°, są one przeciętnie o jeden stopień wyższe od wartości normalnych.

Rozkład opadów wykazuje w kwietniu sprawozdawczym maximum (powyżej 50 mm. deszczu w sumie miesięcznej) w częściach zachodnich Królestwa, przyczem zwiększone sumy (30—40 mm.) wystąpiły także w wielu powiatach ziemi lubelskiej. Znacznie mniejsze (poniżej 20 mm.) opady spadły w obrębie biegu środkowego Wisły i w okolicach przyległych.

Liczba dni z opadem wahała się w granicach od 7 do 17 dni wobec przeciętnej z 12 dni deszczowych.

Spostrzeżenia ze stacyi meteorologicznych, założonych przez Polskie Towarzystwo Krajoznawcze dla zbierania Gór Świętokrzyskich, opiewają:

Tabela meteorologiczna.

a) Temperatura:

Nowa Średnia miesięczna 8°; Max. 22°,5 (w dn. 17)
Słupia Min. 4°,2 (w dn. 2)

b) Opady:

	Suche- dnów	Nowa Słupia	Biellny	Św. Krzyż
Wysokość w milimetrach:	21,6	20,6	20,6	25,4
Liczba dni z opadem:	13	11	12	14

¹⁾ Sprawozdanie powyższe o przebiegu pogody jest opracowane na zasadzie spostrzeżeń, nadesłanych przez nieliczne dotąd stacje Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego oraz obfitszego materiału, posiadanego przez Biuro Meteorologiczne przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie.

oooooooooooo

Nowe książki.

Dr. Józef Zawudzki. — *Pieskowa Skala i jej okolice. Nakład Tow. Akc. Zamek Pieskowa Skala. — Warszawa, 1910, str. 94. — 1 rb.*

Dotrzymując obietnicy, danej w tytule, przewodnik p. Zawadzkiego zajmuje się nie tylko bardzo szczegółowym opisem samej Pieskowej Skali, ale i jej bliższych lub dalszych okolic, a zatem Ojcowa, Grodziska, Koszki, wodospadów będckowickich, doliny sąpowskiej i wielu innych ciekawszych dla turysty zakątków doliny Prądnika. Ocena estetyczna znajdujących się tam zabytków i dane o ich przeszłości dziejowej oparte zostały na pięknej monografii S. Tomkowicza: Zamek w Pieskowej Skale, opis zaś okolic na wzorowym przewodniku K. W(róblewskiego). — Nad Prądnikiem. Drobne usterki, jak np. wyprowadzanie nazwy Chełmowej góry od jej podobieństwa do hełmu (w oryginale „do Chełmu” — przypuszczalnie prosta pomyłka zecercka) nie ujmują wartości dziełka, przeznaczonemu dla szerokich warstw publiczności i posiadającego naogół wiarygodność zupełnie wystarczającą. Poza tą stroną podstawową przewodnik zawiera niezwykle liczne i dokładne wskazówki praktyczno-topograficzne, opisując każdą niemal ścieżkę, każdy wawóz, każdą łączkę, na której można odetchnąć świeżym powietrzem i każdy pagórek, z którego się można nasycić pięknym a rozległym widokiem. Sądzić można, że z tego względu książeczka ta zyska wielką a zasłużoną popularność i będzie nieodstępnym towarzyszem nie tylko mieszkających tam przez czas dłuższy letników, ale i przelotem bawiących turystów.

Wygląd zewnętrzny dziełka przedstawia się bardzo dodatnio. Jedynie większość ilustracji pod względem wyrazistości pozostawia dużo do życzenia. T-l.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

+ Czwarty zjazd prawników i ekonomistów polskich, który odbył się w Krakowie w październiku 1906 r., powziął uchwałę, że następny pląty zjazd odbyć się ma w Warszawie, a o ileby to było niemożliwe, we Lwowie. Zarazem wybrano komitet przygotowawczy, złożony z przedstawicieli wszystkich dzielnic Polski, z którym przyszły komitet organizacyjny zjazdu miałby porozumieć się co do daty zjazdu i programu obrad. Ponieważ starania, aby zjazd najbliższy urządzić w Warszawie, nie powiodły się, zwrócił się komitet przygotowawczy do lwowskiego Towarzystwa prawniczego z prośbą o wdrożenie czynności przygotowawczych do urzędzenia V zjazdu prawników i ekonomistów polskich we Lwowie w roku 1911, a w szczególności o zawłązanie komitetu organizacyjnego zjazdu z siedzibą we Lwowie. Wydział Towarzystwa prawniczego po wszechstronnej dyskusji nad tą sprawą na posiedzeniach dnia 1 i 8 kwietnia b. r., zaprosił na prezesa komitetu organizacyjnego prof. d-ra Józefa Milewskiego, a gdy ten godność tę przyjął, postanowił zaprosić na wice-

prezydentów prof. d-ra Władysława Abrahama, adwokata d-ra Antoniego Działdziejewicza i wice-prezydenta Stanisława Przyłuskiego, a na generalnego sekretarza profesora d-ra Juliusza Makarewicza. Dalej uchwalił wydział powołać do komitetu szereg wybitnych prawników lwowskich z różnych zawodów oraz reprezentantów prasy.

+ Z inicjatywy Towarzystwa pomocy przemysłowej w Żółtkwi odbędzie się w roku bieżącym, w czasie od 3 do 18 wrześni, wystawa przemysłu i rolnictwa, obejmująca powiaty: Rawa Ruska, Sokal i Żółkiew i przyległą do tych powiatów część kraju. Wystawa znajdzie pomieszczenie w budynku „Sokoła”, który stanowić będzie główny pawilon i miejsce zbiorowe dla okazów przemysłowych wystawy. Teren położony w sąsiedztwie „Sokoła”, wynoszący 4,000 metrów powierzchni przeznaczony został na pawilony własne wystawców i na dział rolniczy.

◆ ◆ ◆

+ Na jednym z ostatnich posiedzeń Komisji historii sztuki Akademii Umiejętności w Krakowie przedstawił członek komisji, prof. dr. Jerzy hr. Mycielski, historię zamku rydzynskiego, ilustrując ją licznymi zdjęciami fotograficznymi. Posiadłość ta w XV wieku należy do rodziny Czerwińskich z Wierzbna, którzy następnie swe rodowe nazwisko zmieniają na Rydzynskich. W ich posiadaniu dobra te znajdują się do połowy XVII wieku, poczem przechodzą na własność Leszczyńskich. Rafał Leszczyński wojewoda poznański, buduje część zamku, składającego się z dwóch skrzydeł w kształcie litery L. W roku 1736 Stanisław Leszczyński sprzedaje Rydzynę Józefowi Aleksandrowi hr. Sułkowskemu, który rozpoczyna przebudowę zamku i prowadzi ją do r. 1750. Józefa Aleksandra Sułkowskiego łączą bliskie stosunki z dworem Augusta II, a tradycja utrzymuje, że miał on być synem naturalnym tego króla; tem się też tłumaczy częste odwiedziny Augusta II na zamku rydzynskim.

Zamek ten zbudowany jest na podstawie kwadratu, z wieżami na czterech bokach. Apartamenty recepcyjne znajdują się na drugim piętrze. Zdobią je dekoracje stiukowe rokokowe. Na uwagę zasługują trzy sale tak zwane pór roku i świata, obite gobelinami, dalej sala wodna ośmiokątna, a wreszcie sala prymasowska w stylu cesarstwa, prawie identyczna z salą w zamku warszawskim. Sufit ozdobiony obrazem, przedstawiającym Olimp, szkoły Bacclarellego. Zamek posiadał stokilkadziesiąt portretów współczesnych panujących i innych wybitniejszych osobistości swego czasu.

+ Miasto Poznań jest zaliczone przez władze pruskie do okręgów, w których ludność polska nie stanowi 60 proc. mieszkańców i nie ma prawa obradowania na zebraniach publicznych w swoim języku poza okręgami wyborczymi. Statystyka ruchu naturalnego ludności, przy której zestawianiu względy polityczne nie odgrywają żadnej roli, dowodzi jednak, jak niesłuszne jest zaliczanie Poznania do miast, nie posiadających znacznej większości polskiej. Tak więc w miesiącu styczniu b. r. było według ogłoszonego w tych dniach



urzędowego sprawozdania ślubów ogółem 107, a w tej liczbie 76 polskich, dzieci urodziło się 432, w tej liczbie polskich 264, na 241 umarłych było Polaków 159. We wszystkich więc rubrykach statystyki Polacy stanowili daleko wyższy procent, niż 60 i objaw ten powtarza się w każdym sprawozdaniu miesięcznem.

+ Niedawno obiegła prasę wiadomość, że majątki należące do ordynacyi Rydzyskiej przeszły na rzecz komisji kolonizacyjnej. Informacja ta, jak donosi „Tägliche Rundschau“, jest nieścisła: pomiędzy ministeryum oświaty, jako zastępcą poznańskiego prowincjonalnego komitetu szkolnego, któremu testamentem są przekazane dobra ordynackie, z jednej a ministeryum rolnictwa z drugiej strony, odbywają się pertraktacje co do nabycia obszarów, gospodarstwu rolnemu służących, przez komisję kolonizacyjną, jako też lasów około 8,000 morgów obejmujących, przez urząd leśny, bo w ten sposób najlepiej możnaby te dobra wyzyskać. Już przed kilku laty otaksowano dobra ordynackie przez zarząd gospodarczy. Wartość ich wynosi niemal sześć milionów marek, choćby się nawet za podstawę wzięło niższe ceny od tych, które płaci obecnie komisya kolonizacyjna. Są tam dwie oddzielne grupy dóbr w powiecie leszczyńskim i rawickim, w większej części wydzielzawione. Co do pretensyi zarządu szkolnego do pieniędzy, ze sprzedaży tych dóbr uzyskanych, zachodzą jeszcze sprzeczne poglądy u władz odnośnych.

+ W sprawie kościoła Panny Maryi w Inowrocławiu w Wielkopolsce, zburzonego częściowo przez powstałe skutkiem zalewu kopalni tamtejszych zapadnięcie się ziemi, donosi z okazji pierwszej rocznicy tej katastrofy „Dziennik Kujawski“:

„W obecnych warunkach kościołowi temu żadne niebezpieczeństwo nie zagraża, a jeśli nic nowego nie zajdzie, odbudowanie świątyni jest tylko kwestyą czasu. Na razie myśleć o tem jeszcze nie można, ale tymczasowe urządzenie kościoła do użytku parafialnego nie jest wyłączone. Zapytana o to dyrekcyja akademii górniczej w Berlinie oświadczyła w tych dniach, że ze stanowiska geologicznego ani obaw, ani trudności nie ma żadnych. W zależności od stanowiska, jakie zajmą władze policyjne i fiskalny patronat, w krótkim już czasie zapadnie w tym względzie stanowcze postanowienie. Sprawa odszkodowania parafii za powstałe szkody dotąd nie wyjaśniona. Minister handlu, jako naczelnik całego górnictwa fiskalnego, nadesłał w ostatnich

tygodniach odpowiedź odmowną; przyczynowego związku pomiędzy zalewem kopalni a zaszłą katastrofą nie uznaje“.

+ P. Bernard Chrzanowski z Poznania zamieścił w jednodniówce *Znicz* i następnie w *Gryfie* przypomnienie o ciekawym zabytku z czasów króla Jana III w dalekiej pomorskiej wsi Rucewie pod Puckiem, mianowicie o wspaniałej, sadzonej w cztery rzędy, alei lip-olbrzymów, prowadzącej do pałacu, będącego obecnie własnością — Niemca. Zwycięzca z pod Wiednia nieraz bawił w Rucewie: w lipcu 1685 r., podpisał tu przywilej dla Wejherowa; przyjeżdżał zaś i później na Kaszuby do swego dziedzictwa na wywczasy. Jedyny polski król w polskiej wsi nad polskim morzem... Przyjeżdżała tu i Marysieńka, chociaż woląa kąpać się w Kolebkach pod Sobotami. Z dawnego królewskiego dworu nie zostało ani śladu; za budynkami folwarcznymi ludzie dworscy, kopiąc doły do kartofli, znajdują jeszcze czasem resztki fundamentów.

+ Grono Litwinów pruskich zorganizowało specjalne towarzystwo, którego zadaniem jest nabycie na własność narodową słynącej z podań góry Rambynas w Prusach książęcych. Część góry należy obecnie do pości litewskiego w sejmie pruskim, d-ra Gajgałajtisa. Nazwę t-wo przyjęło od owej góry. Wkłady roczne członków t-wa wynoszą 100 marek od osoby.



+ Pierwsza katedra fotografii utworzona została w Dreźnie w czasie semestru letniego r. 1908. Powołany został do objęcia jej prof. dr. R. Luther. Jego wstępny wykład, który okazał się obecnie w druku (Wydawn. W. Knappa w Halli a. S.) omawia sztukę fotograficzną, jako przedmiot nauczania i temat do badań naukowych, oraz w krótkim przeglądzie historię, znaczenie i zastosowanie w technice tej awansowanej do godności specjalnego przedmiotu naukowego sztuki.

NADESŁANE.



SZKŁO, PORCELANĘ, FAJANSY i t. p.

□ poleca: **PIERZCHALSKI, Szpitalna 5.** □



TREŚĆ: *Bolesław Olszewicz* — „Pierwsze wiadomości o odkryciu Ameryki w literaturze polskiej“ (z 1 ilustr.); *Ludwik Włodek* — „Z wycieczki do Parany“ — dok. (z 2 ilustr.); *Al. Janowski* — „W Otwocku“ (z 2 ilustr.); *Konrad Chmielewski* — „Stary podręcznik krajoznawstwa“; *St. Th.* — „Sven Hedin w Tybecie“ — c. d. (z 1 ilustr.).

Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Nowe książki. Kronika Krajoznawcza.

Winietę tytułową i ozdoby w tekście rysował *Mikołaj Wisznicki* — Odbito w tłoczni *Piotra Laskauera* i S-ki — Składał i łąkał *Stefan Turobojski* — Odbijał na maszynie *Władysław Kaczorowski* — Kłisze wykonano w zakładzie *B. Wierzbickiego* i S-ki — Papier krajowy z fabryki *A. Moesa* w Pilicy.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwieć.**